Część wspomnień Jana Kurasia,
ojca Poety – przez niego spisana.

W roku 1858 – 59 zaczęto się u nas nieco ciężej robić pod względem policyjnym, mianowicie zaczęto wydawać w powiecie „przepustki" do Sandomierza na odpust, co dawniej wcale nie było dozwolonem. To też ludzie się zrazili na te pielgrzymki z bliska i z dala, przeważnie od Dęby i Rozalina. Tam już były zaprowadzone bractwa n.p. Różańca, i ci ludzie byli przykładni i religijni.

Wówczas w Sandomierzu istniało ~~jeszcze~~ sześć kościołów ~~(do roku 1863)~~: Katedra*), kościół parafialny pod wezwaniem św. Pawła na górze na zachód, nieco bliżej kościół starodawny św. Jakóba z klasztorem OO. Dominikanów, pamiętny wymordowaniem przez Tatarów 49 zakonników z błogosławionym Sadokiem, w mieście tuż od bramy Opatowskiej kościół św. Ducha z klasztorem Szarytek, ~~nieco dalej~~ i z szpitalem, dalej na północ za miastem kościół i klasztor Benedyktynek i wreszcie na górze ku zachodowi kościół z klasztorem OO. Reformatów, ~~który latem i~~ gdzie też był Nowicyat ~~dla~~ z przygotowaniem zakonników na księży.

Zakon Reformatów był bardzo ubogi i umartwiony. Reformatorzy latem i zimą nie nosili obuwia tylko drewniaki pod podeszwą, przypasane do nóg rzemykami, a niektórzy z nich nie nosili koszul, a w nowicyacie obowiązkowo przez jeden rok i sześć tygodni, tylko włosiennicę na gołem ciele, to też skóra na nich była tak od włosia zerznięta, jakby trędowata. Żyli z ofiar. Każdej jesieni rozchodzili się na kwestę w okoliczne wsie i dwory i przypędzali do klasztoru całe stada owiec i gęsi. Kobietom do ich cel nie wolno było wejść; jeżeli się która czasem zabłąkała na kurytarz, natenczas chwytało ją dwóch zakonników za ramiona

i tak wyprowadzali, a trzeci ją poganiał, po plecach smagając paskiem św. Franciszka. Tam miałem ~~dużą~~ znajomość, nieco później donosiłem im skrycie pisma i gazety. Do spowiedzi tam najczęściej chodziłem; skorom rzekł Ks. Gwardyanowi, zaraz polecił Ks. Zarnowskiemu mię wyspowiadać, a potem zaprosił na śniadanie i na piwo.– Do Dominikanów też przenosiłem pisma, ale tam miałem mniej poufałości niż u Reformatów.

W roku 1860. jakiś duch religijno-patryotyczny ~~ot~~ ogarnął wszystek naród w Polsce – pod Moskalem – ale to bez wyjątku wszystkie klasy. Zaczęli nosić polskie stroje: czamary i rogatywki; rozpoczęły się pielgrzymki, szły kompanie ludzi z chorągwiami i ksiądz na czele. Gdy takie kompanie przychodziły do Sandomierza, z katedry wychodził ksiądz, młody mężczyzna i panna z chorągwiami (takie dwie chorągwie stały przed prezbyterium w katedrze) w narodowych strojach; on w czamarze, rogatywce i w butach z cholewami, na które do połowy opuszczone były spodnie; dziewczyna po miejsku tylko przyzwoicie, w bieli, bez zarzutki, pas na koszuli zwykle z kościuszką, głowa odkryta, włosy splecione w jeden warkocz, u którego na końcu wstążka i pod szyją wstążka czerwona-różowa u koszuli na kokardkę zapięta spinką z białym orłem. Na sztandarach obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, wokoło którego napis „Pod Twoją obronę uciekamy się", a na drugiej stronie orzeł biały z napisem „Jeszcze Polska nie zginęła". Z nimi wychodziła po kompanię miejscowa kapela. Po przywitaniu się ksiądz intonował „Boże coś Polskę" i tak wprowadzał pielgrzymów do katedry. Nadchodziła druga, trzecia i dalsza ~~kop~~ kompania, to po każdą z taką samą paradą wychodzili i wprowadzali do katedry.–

Nieopodal Kościoła Reformatów był cmentarz do Żychcic należący, na którym grzebała się za dobrą opłatą szlachta i tam było pełno pomników i nagrobków.

Kiedy Moskale zaczęli się już rzucać na procesje i porąbali krzyż, zaczęto na tę pamiątkę stawiać krzyże z okrągłego drzewa. Na wspomnianym cmentarzu postawili taki krzyż i cały ubrano w zieleń, a dokoła zawieszono lampy. Wieczór po ukończeniu nabożeństwa w katedrze

szli ludzie na cmentarz ten, który był oświe=tlony rzęsiście, zwłaszcza krzyż pamiątkowy, i tam jeden z Ojców Reformatów odmawiał z ludem błagalne modły i śpiewy za Polskę, potem już w nocy szli wszyscy do kościoła Reformatów i tam kazał w noc kończyli nabożeństwo odśpie=waniem religijno-narodowych pieśni.

Księże podczas kazań wytępywali otwarcie i dziwna, że Moskale na to wszystko patrzyli obojętnie, jakby bezradni.

W roku 1863. Moskale wypędzili zakonników (Reformatów i Dominikanów), cmentarz ~~ten~~ ten zburzyli do szczętu, a mury i pomniki rozwieźli – i kto go nie znał, toby nie uwie=rzył teraz, że w tem miejscu istniał taki wspa=niały cmentarz, gdyż nie dozwolono nawet płotem (większego) ogrodzić. –

U nas w Galicyi w tym czasie zaczęła się młodzież – zwłaszcza szkolna – burzyć; robili demonstracye, urządzali pochody, – nie obyło się bez aresztowań. Kiedy w kościele w urodziny lub imieniny cesarza zagrali hymn „Boże wspie=raj", młodzież gruchnęła „Boże coś Polskę" i ~~„Z dymem pożarów~~" zagłuszyła organy.

Podczas pochodów śpiewano najczęściej „Boże coś Polskę" i „Z dymem pożarów. Był natenczas namiestnikiem Księżę Mensdorf we Lwowie, niemiec zabity, który kazał sobie tłu=maczyć te dwie pieśni na niemieckie. W „Boże coś Polskę" pytał się, co to znaczy „prochy wolne", nareszcie orzekł: „Boże coś Polska, das ist noch nichts, aber mit dem Rauche – Z dymem pożar das ist verfluchte"
to znaczy: Boże coś Polskę to jeszcze nic, ale z dymem pożarów – to przeklęte.

Taki mniej więcej stan rzeczy trwał do początku roku 1863. Moskal byłby pewno zrobił ustępstwa, bo tak cały naród stanął w jakimś szczególnym ruchu, ~~że się obawiał~~ żeby nie ten nieszczęsny margrabia Wielopolski, który doradził pobór młodzieży do wojska, co przyspieszyło powstanie nieprzygotowane należycie.

We mnie drgała ta żyła i już mieli mnie na oku. Uczyłem wtenczas dzieci w Fürmaniach, gdy

dnia pewnego dostałem list od kolegi szkolnego z gimnazyum, z Rzeszowa, wzywający, bym poszedł do powstania. Przybył do mnie niejaki Cyprian Markowski, naturalny syn pewnego szlachcica z Barańszczyzny, bawił u mnie ze dwa dni, potem udaliśmy się do Grębowa do nieboszczyka Dolańskiego, który wyprawiał oddziały za granicę. Powiedział nam: „Szkoda żeście nie przyszli wczoraj, tej nocy bowiem wyprawiłem oddział — zabrali wszystką palną broń, tylko siecznej trochę zostało. Ale bądźcie ze trzy dni u pana Popiela w Sokolnikach, to ja obmyślę jaką wam dać wiadomość. — Poszliśmy więc do Popiela, a on mówi: „Przepadło wszystko, zdrajcy stanęli na czele powstania i wszystko poszło na marność. Idźcie do dom i cicho!" — Właśnie w tych dniach Moskale przez zdradę Zdanowicza, burmistrza Lublina, rozbili najbliżej stojący oddział Frankowskiego pod Słupczą w lubelskiem. Mnóstwo rannych pouciekało do Galicyi i tu się mieścili po dworach. U nas w gorzelni w Wymysłowie leżało po kilkunastu. Było to w końcu stycznia. Dowódzcę Frankowskiego, przestrzelonego przez krzyż i brzuch, porwali powstańcy i przywieźli do Sandomierza. Tam go nie mogli ukryć, bo szpiegi moskiewskie węszyły wszędzie, i aż w czwartem przechowaniu go odkryli, zabrali, podleczyli — i powiesili w Piotrkowie.

Nie długo ale słychać, że to nic, bo wszędzie są oddziały powstańcze i gromadzą się. Austryacy sami im pierw sprzedawali z magazynu stare karabiny, i kto chciał to nabył. Ja znów dostaję drugi list, i na [illegible] zbieram się, ale już żandarmi za mną tropią. Wpadli tam, gdzie dzieci uczyłem; zdołałem jeszcze podnieść w izbie deski i schować się do piwnicy [illegible] pod podłogę; zabrali mi tylko obrazki patryotyczne, wiszące na ścianie nad łóżkiem. Nie było rady, trza się wybrać. Gdzieś w Barańszczyźnie mieli się przeprawiać za granicę. — Miałem tu znajomych, nieco starszych odemnie kolegów: Kutyłę i Dumę, którym przyznałem się, że idę do powstania i odczytałem im wspomniany list, a oni

oświadczyli gotowość pójść ze mną. Niestety - zdradzili mnie: poszli do naczelnika powiatu (jak teraz starosta), którym był niejaki Biankini, Włoch z pochodzenia, i opowiedzieli mu, żem ich namawiał do powstania. Ten dał im po cwancygierze (na dzisiejsze pieniądze 66 halerzy) i pochwalił, a za mną zarzadził śledztwo. Przychwycili mię wieczorem w drodze poza Tarnobrzegiem i powiedli przed naczelnika; ten kazał mnie zamknąć w osobnej kaźni. To było coś w końcu lutego. Przy rewizji na nieszczęście znaleźli przy mnie jeden list, schowany w kieszeni kamizelki. Przez 7 dni siedziałem sam jeden. Ojciec mój chodził za mną do naczelnika, ten go zbywał wymijająco, że mnie zwolni, a mnie nie zwołał wcale do protokołu. Ósmego dnia, a było to w niedzielę, zasolano mię naraz pomiędzy innych więźniów; ojcu pozwolono się ze mną widzieć, naczelnik powiedział mu, że mię wkrótce zwolni. - Późno wieczór, kiedyśmy się już pokładli spać, zgrzytnął klucz w zamku, drzwi się otwarły i wszedł klucznik z latarką, a za nim żandarm uzbrojony, który wezwał mię, żebym szedł z nim na posterunek. Odwiódł kurek i powiedział, że gdybym uciekał, będzie strzelał do mnie. Wygnał mię poza miasto i sprowadził na posterunek, którego komendantem był niejaki Johan, co go później w Dębickich lasach powstańcy zastrzelili -, leży w Miechocinie.

Ów komendant posterunku okazał się względem mnie dosyć uprzejmym, oznajmił mi, iż ma rozkaz odwieźć mię zaraz do Krakowa pod wojenny sąd i że wkrótce nadjedzie „forszpan" i pojedziemy na całą noc do Dębicy - do kolei; następnie pytał mię, czym nie głodny, a gdym powiedział że nie, poczęstował mię swoją fajką i kamizelką tytoniem, każąc sobie zakurzyć, co mi wielką przyjemność sprawiło, - kurzyłem już bowiem tytoń, a tu przez osiem dni mojego więzienia w Tarnobrzegu nie miałem w ustach. Była tam jego matka, wdowa, kobieta w średnim wieku, akuszerka z zawodu, osobiście moim rodzicom znajoma,

która użaliwszy się mego losu, przyniosła
bochenczek białego chleba i kawałek słoniny,
prosiła, bym to sobie zabrał, a nadto dała
mi gotówką 2 fl. mówiąc, że ona to sobie
od mego ojca odbierze, podała mi jednak
ołówek i kąsek papieru, ~~i ołówek~~ na którym zaregi-
strowałem jej tę pożyczkę i napisałem kilka
słów do moich rodziców, na co komendant po-
zwolił.

Niebawem nadjechała fura. Komendant się
ubrał i uzbroił, powiedziawszy mi, że ma pole-
cenie mię skuć w żelazka z obawy przed
ucieczką, ale jeżeli mu dam słowo, że nie
będę próbował uciekać, skucia mię zaniecha –
co mu też przyrzekłem. Siedliśmy na furę
i w drogę. Noc była ciemna, wiatr przega-
niał z deszczem i śniegiem – zmokliśmy;
ja byłem ubrany w dobrą mejską, czarną
sukmanę, więc przemoknięcia nie odczułem,
ale wiatr przekradał się za odzienie, ~~zim~~ chło-
dem dotkliwym przejmując; była to noc z
10 na 11 marca. Tak przybyliśmy w nocy
do Mielca. Żandarm oddał mię odnośnym
władzom, które osadziły mię w areszcie. –

W kozie, do której mię wsadzono, zastałem
dwóch urwisów miastowych, którzy zaraz zaczęli
mię nękać o pieniądze na wódkę, po którą
mieli posłać zaraz. Szczęściem że mój pobyt
nie ~~trwał~~ tam dłużej nad godzinę, którą przesta-
łem na nogach z obawy przed niechlujstwem,
jakie tam panowało, bo znów mię wyprowadzono
i w dalszą drogę z tym samym żandarmem po-
jechałem świeżą furmanką.

Wkrótce zaczęło się rozwidniać, nareszcie zrobił
się dzień. Wówczas ~~nie było~~ na tym trakcie nie
było jeszcze szosy; wóz grzązł to w błocie to piaskach,
żandarm przysypiał, to znów postawiwszy karabin
na wozie szedł pieszo naprzód fury kilkadziesiąt
kroków. Tu mię chwyciła pokusa, ażeby porwać
karabin i czmychnąć, alem sobie pomyślał, że
nie znam okolicy, do lasu daleko, żandarm
zaś wyprzęże konia i dopędzi mnie, a może w pościgu

strzeli do mnie z pistoletu, jaki miał przy sobie w torbie, której nie zdejmował z siebie, a gdy mnie nareszcie pochwycą narażę się na dotkliwe kary, a przytem dałem mu słowo, że nie będę uciekał. Rozważywszy to wszystko na prędce odepchnąłem pokusę, zdając się na los. - Gdyśmy się zbliżyli do Dębicy, żandarm spojrzawszy na zegarek wyrwał chłopu lejce z rąk i sam śpiesznie popędzał konie; to też zaledwośmy przyjechali na dworzec, wpadł, wziął bilety - i do wagonu, a pociąg w tej chwili ruszył ku Krakowu.

Teraz żandarm odliczył 17 czy 19 centów - nie pamiętam dokładnie - i wypłacił mi mówiąc, że to jest dzienny żołd, jaki od dziś przez czas mego uwięzienia na utrzymanie pobierać będę.

Po kilkugodzinnej jeździe stanęliśmy po południu w Krakowie. Przed wyjściem z wagonu ~~żandarm~~ mój konwojent odezwał się w te słowa: Słuchajcie Kuraś! Miałem polecone skuć was na całą drogę, alem tego nie uczynił; teraz ale wybaczcie, że wam nałożę na ręce kajdanki, bo tu i na mnie uważają. Zgodziłem się i na ten niepochlebny zaszczyt; ale te wszystkie przypadki, pierwszy raz w życiu mię spotykające, tak mię zmieszały, że wychodząc z wagonu zapomniałem tego bochenka chleba, jeszcze nienapoczętego, wraz z słoniną zawiązane w chustkę, z sobą wziąć, co ~~sobie~~ przypomniałem sobie dopiero na zamku. Takeśmy szli pieszo na „Platzkomendę". Weszliśmy do biura; żandarm zdjął mi kajdanki, schował do torby, przedłożył oficerowi książkę do potwierdzenia odbioru, salutował i odszedł. - Oficer ten, „platzkomendant", w randze zdaje się kapitana, przywitawszy mię urągliwym uśmiechem i wyrazem „rebelant", przydzielił mię podoficerowi (: „führerowi" :) od piechoty z jakiemś pismem, który mię na zamek do kancelaryi profosa odprowadził.

Profos, Czech, zagadał najpierw do mnie po czesku: „za co pak tu są?". Zbyłem go krótko: „za politykę". Poczem opisawszy mię co do wyglądu i stroju, oddał mię odźwiernemu kapralowi, który wziąwszy klucze

zaprowadził mię pod № 17½. Izba ta leży pierwsza
z prawej ręki przy wejściu od dziedzińca w północno-wscho-
dnim kącie. Wszedłszy do izby ujrzałem w jej wnętrzu około
20 ludzi przeważnie w wojskowych strojach (Byli to
żołnierze za różne przewinienia karani; wtenczas
bowiem wojskowym nawet na urlopie sądy cywilne
nie miały prawa sądzić, tylko każde przewinienie
czy zbrodnia wojskowego należały do kompetencyi sądów
wojennych). Jedni siedzieli, inni się przechadzali.
Byłem teraz ich współtowarzyszem. – Stanąłem nie-
śmiały, wtem przybiega do mnie chudy, wysoki woj-
skowy, wyciąga rękę i: „jak się masz bracie? a
zkąd przybywasz? a za co ciebie tu przygnali?" – ale wtem
~~[illegible]~~ przechadzający się poważnie po kaźni w wię-
ziennym stroju z fajką na długim cybuchu w ustach
człowiek, miał skówkę na ręce a drugą na nodze i łań-
cuszek przeciągnięty od nogi do ręki; z wejrzenia po-
ważny, wyglądający na około 50 lat, przystępuje i
rzecze: „Bracie! ani słowa, nie wiem, pomiędzy jaki-
mi ludźmi jesteś, idź i usiądź sobie na pryczy",
a odwróciwszy się do mojego napastnika, powiedział mu:
„A ty piekarz Niemczyk (tak się nazywał), uciekaj mi
od niego, bo jak się co na ciebie jeszcze wyda, to gwał-
tów nie pozbierasz!" i pchnął go odemnie. (Człowiek
ten nazywał się Władysław Bielawski, pochodzenia szla-
checkiego z Królestwa. Historyę jego życia dość ciekawą
znajdą czytelnicy na dalszych kartkach niniejszego
opowiadania!) – Wtem przystąpił do mnie młody
człowiek wojskowy, a wziąwszy pod ramię posadził obok
siebie ~~so~~ na pryczy i powiedział: „Właśnie obok mojego
siennika jest drugi ~~p~~ nie zajęty, to będziem moim „szlafem"
(towarzyszem spania). Potem mię raczył chlebem i tyto-
niem a wreszcie dał mi swoją czystą bieliznę i
kazał mi się przeoblec, mówiąc: jutro dostaniem
bieliznę, a tymczasem swoją zdejm, bo robak między
się zagnieździ, to się ją da do prania. – Zacny
ten kolega nazywał się Wincenty Tarka i był
ze wsi Kościelec koło ~~gr~~ Krakowa, gdzie według
legendy święty Jacek stłuczone gradem zboże cu-
downie wskrzesił. – Byliśmy razem, aż on coś po 6
tygodniach został uwolniony. Rozstaliśmy się prawie
z płaczem, takeśmy się do siebie w tym czasie przywiązali.

Niestety po kilku latach dowiedziałem się, że zmarł– niech mu Pan Bóg da wiekuistą szczęśliwość.–

Tak zostałem mimowoli obywatelem królewskiego zamku!

Teraz rozglądnijmy się po izbie. Jedno okno zakratowane o dwóch skrzydłach, zabite od dołu w większej połowie koszem z desek, od strony zachodniej na dziedziniec wyglądające. Na jednem skrzydle mogło siedzieć dwóch ludzi i spoglądać przez niezabite części, ale gdy kapral odźwierny był huncwot, to nie pozwalał. Mury zamku grube; wprost okna była w ścianie framuga, w której stał stół i kilku ludzi mogło na ławkach obsiąść. Popod inne 3 ściany stały długie prycze, na których leżały sienniki po dwa koło siebie. Nad pryczami były półki; a pod tymi drewniane kołki do wieszania odzieży. Ku środkowi stał piec okrągły żelazny dla ogrzewania izby w zimie. Przy progu kibel z nakryciem, o dwóch uchach i drągiem do wynoszenia dwa razy na dobę, rano i wieczór

Teraz wypada coś wspomnieć o kapralach odźwiernych. Ci byli przeznaczeni zwykle po dwóch na miesiąc. Ich obowiązkiem było pilnować, ażeby porządek był w kaźniach, wypuszczać dwa razy dziennie więźniów na spacer, załatwiać ich sprawunki do miasta przez ordynansa, odprowadzać do sądu i przyprowadzać po przesłuchaniu, ~~wię~~ zgoła wszystko co pod tym względem wypadało, należało do nich. Byli to kaprale lub lub firery od stojącego tam pułku ko~~m~~menderowani. Zwykle po miesiącu tej służby odwoływali ich i nasyłali innych; zdarzało się jednak, że niektóry był i przez parę miesięcy, a nawet jednego z nich już z chwilą mego oddzenia po ~~skarania~~ z kaźni zostałem i po dziewięciomiesięcznym pobycie zostawiłem jeszcze na tem stanowisku, tylko w tym czasie miał coś dwumiesięczną przerwę. Był to kapral dość szczupłej postawy z świecącemi jak żmija oczami, a pochodził z tak zwanych „Deutsch-Böhmów“. To byli najwięksi huncwoty, a właśnie surowe i grubiańskie obchodzenie się z więźniami ułatwiało takim dłuższy pobyt na tem stanowisku. Ten gałgan nie pozwolił w okno spojrzeć; jeżeli który podszedł do okna i chciał się popatrzeć na dziedziniec, gdzie wciąż wojsko robiło obroty, przez niezabitą u góry koszem część okna, natenczas zaraz krzyczał z ganku przed kancelaryą profosa, gdzie zwykle stawał: „herunter!“ a gdy się ~~ten~~ więzień nie śpieszył, pędził z kluczami do kaźni..

Jeżeli zaś podoficer ~~#~~ odźwierny był rodowity niemiec lub polak, to już był ludzki. Wszystkie zaś Deutschbömy ~~i rusiny~~ to byli skończone łajdaki. O tamtym jeszcze tyle teraz wspomnę, że sam prosił, ażeby był mianowany do wymierzania plag — bicia kijem skaranych — po jednozazowej ale próbie, co mu czyniło rozkosz dziką, zauważyli go jednak za niezdolnego w tym fachu i odebrali mu ten zaszczyt, o jaki się tak gorliwie ubiegał. Po moim przybyciu na Zamek oprócz tego był drugi kapral odźwierny, niemiec rodowity, nie rozumiejący ani słowa po polsku. Co to

/.

była za dusza! Z każdym więźniem obchodził się po koleżeńsku; jak przyszedł do kaźni to żartował i przewracał się z więźniami – jak nasze (wrodzone więźniów) chłopaki – odszedłszy zost drzwi kaźni otwarte zostawiał i nie obawiał się, żeby mu który z więzienia uciekł. W oknie siedzieliśmy dowolnie, nie zabraniał. – Każdego uprzedził, jeżeli coś wiedział względem niego, np. powołanie do przesłuchania, uwolnienie, czas wykonania kary i tp. – W kilkanaście dni po moim przybyciu siedziałem w oknie po południu i spoglądałem na dziedziniec, a ten szedł z miasta, dojrzał mię, już nie wytrzymał aż przyjdzie do kaźni, tylko woła na zgłos: „Kurasz! Ihr Oheim Graf Tarnowski hat Ihnen geschickt Zehn Gulden, ein Paar Stiefel, zwei Hemde und zwei Paar Gatten. Es ist alles in Platzkomando morgen werden Sie alles bekommen". (Kurasz! Wan hrabia Tarnowski przysław wam na Reckomendę 10 złr., parę butów, dwie koszul i dwoje „gaci" – jutro wszystko dostaniecie.) Taki to był poczciwiec, choć z innego narodu. Każdemu starał się niejako osładzać jego położenie – niech mu Pan Bóg da wielkie szczęście, jeżeli żyje. Szkoda tylko, żem sobie nie zapamiętał jego nazwiska – a po miesiącu już go odwołali i więcej go nie widzieliśmy. – – Nazajutrz z rana profos zawezwał mię do kancelaryi i powiedział mi, że hrabia Stanisław Tarnowski przysłał mi 10 złr. które są u niego i po parę „szóstek" mogę dostawać na lepsze pożywienie, zaś co się tyczy tamtych rzeczy, to dał mi dwie koszul, jedne stare kobiece majtki za te dwoje „gaci" – a buty całkiem przepadły. – Dopominać się nie mogłem, bom nie miał dowodu prócz tego co mi kapral powiedział – a jego nie chciałem kompromitować.

